



# Adam Cebula „Matrix, matrix wszędzie!”

Adam Cebula



Pewnie to już kilka razy pisałem: za młodych lat brakowało mi filmów fantastycznych. Literatura była jakoś tam dostępna, ale sieriozna doktryna socrealistycznej kultury nie dopuszczała marnowania państwowych pieniędzy na próżną rozrywkę. Filmy były ciężko-realistyczne, w ramach owej oficjalnej linii artystycznej nawet mocno antykomunistyczne – godzące w sojusze, w marksizm z leninizmem, prześmiewcze, psychologiczne, prorocze czy cokolwiek innego kto zapragnął, ale fantastyki było w dostępnej kinematografii co kot napłakał. No i jakby na złość babci – odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni.

Teraz w kinie, nie tylko fantastycznym, co rusz Obcy, niezwykle wynalazki. No i nie tylko przesyt, ale i dojmujące poczucie braku. Czego? Chyba... fantazji. Prawie w każdym filmie nadziewam się na taką wkładkę fantastyczną, po której mnie zwykle trafia szlag, bo znalazła się ona tam, ponieważ komuś zabrakło pomysłów. Co gorzej – ba dużo gorzej – zarówno w filmach i literaturze fantastyka naukowa zaczyna udawać rzeczywistość, i to już najbardziej wq... znaczy... tego... denerwuje. To zabieg znany już od starożytności. Deus ex machina, czyli w oryginale spuszczano na sznurku aktor, który gra boga rozwiązującego zwykle zbyt zawikłaną akcję. Termin wprowadzony przez Eurypidesa. Autor może się tym posłużyć bardzo sprytnie i efektownie, ale zazwyczaj oznacza to fabularną katastrofę. Odbiorca, wyrywany brutalnie ze świata przedstawionego, może podejrzewać, że pisarzowi czy scenarzyście brakuje wiedzy, jak działa rzeczywistość lub (co najgorsze) zabrakło pomysłu, co dalej. Wyjątkowo irytuje nieoczekiwane złamanie konwencji, choć czasem jest ono dopuszczalne. Taki chwyt zastosował St. Lem np. w „Śledztwie”, gdzie z kryminału jesteśmy katapultowani do mocno filozoficznej SF. Podobnie dzieje się w „Katarze”.

Niestety, często ten zabieg przeprowadzany jest nieudolnie. Szczególnie zgrzyta taka przewrotka, gdy zaczyna się od konwencji czegoś, co nazywa się bodaj fabularyzowanym reportażem, i okolic tego gatunku. Wydaje się czytelnikowi czy widzowi, że będzie miał do czynienia z twórczością, której głównym walorem ma być realizm, przekazanie wiedzy o tym, jak na przykład działa policja albo szpital. A tu mamy luźne fantazje. „CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas” to jedno z takich moich rozczarowań. W istocie możliwości, jakimi dysponuje prezentowane w filmie laboratorium, są bardziej Fi niż Sci. Ich analizatory (jak to nazwać?) są takie trochę ze Star Treka. Wydaje się, że po włożeniu do nich próbki farby powinny podać nazwisko i adres malarza. Podają tymczasem z niezwykle dokładnością składy różnych bardzo dziwnych substancji i to niemal natychmiast i z

niezwykłą dokładnością.

Skąd się biorą takie pomysły?

Gdy 15 stycznia 2009 roku lot US Airways 1549, którym dowodził Chesley Sullenberger, wodował szczęśliwie na rzece Hudson, to dzięki analizie DNA udało się określić nie tylko jaki gatunek ptaków spowodował katastrofę, ale nawet ich pochodzenie. Uniewinnione zostały gęsi z pobliskiej kolonii ptaków, winne były gęsi wędrowne aż Kanady. Niezwykłe. Ale o ile pamięć mnie nie myli, na wyniki trzeba było poczekać miesiące.

Wcisnąć w fotel może wynik analizy za pomocą tzw. spektrometru masowego. Można wziąć dwa kawałki metalu i stwierdzić, że na przykład pochodzą z tej samej partii gwoździ. Badanie to owszem, pozwala wyznaczyć z wielką dokładnością skład chemiczny tak, że stanowi on rodzaj unikalnego odcisku palca, bo wyłapiemy śladowe ilości pierwiastków i określimy ich wzajemne proporcje, które będą charakterystyczne dla jednego cyklu produkcyjnego. Piękne, wstrząsające, ale zadziała tylko czasami. Badanie wymaga, by materiał rozpylić na pojedyncze cząsteczki, co oznacza, że np. niektóre związki organiczne mogą się rozpaść na jakieś prostsze. Wielu substancji zbadać się nie da, dla innych potrzebne są specjalne techniki. Z badania nie wynikają informacje nawet typu „to jest węgiel”, i gdy się nie ma tzw. widma wzorcowego, wyznaczonego dla czegoś o znanym składzie, możemy się ostro pomylić.

Magiczne metody działają raczej wyjątkowo i nawet w sytuacjach, w których w powszechnej świadomości problemu nie ma. To jest kłopot i to w bardzo typowych i powtarzających się sytuacjach. Na przykład trudno jest wykryć wszelkie ładunki wybuchowe domowej produkcji, bo zawierają substancje normalnie obecne w naszym otoczeniu, takie jak np. saletra amonowa (popularny nawóz). Trudno zrobić wykrywacz, który nie dawałby na okrągło fałszywych alarmów.

Lista kantów fabularnych w sensacyjniakach jest bardzo długa. Nie da się odzyskać z dysku danych po wydaniu komendy shred, nie da się magicznie wyostrzyć obrazu poniżej progu rozdzielczości obiektywu, złamać hasła do serwera nawet potężnym superkomputerem NSA, o ile to hasło nie jest idiotycznie proste. Nawet robienie zdjęć ludziom, gdy odległość przekracza 300-400 metrów, robi się trudne z powodu falowania powietrza. Pomimo że niby satelity to robią. Zaś mikrofony kierunkowe dobrze nadają się do nagrywania śpiewu ptaków, ale zdecydowanie gorzej do podsłuchiwania rozmów ludzi.

Fabularna wpadka, którą zapamiętałem na całe życie, pochodzi z na pozór bardzo porządnego pod względem faktograficznym serialu „07 zgłoś się”. W jednym z odcinków występuje gang fałszerzy złotych monet. Byłoby prawie w porządku, gdyby na końcu nie okazało się, że owe monety zostały wykonane ze szkła ołowiowego – i jak stwierdził sam porucznik Borewicz – idealnie dobrano ich wagę. Aż jęknąłem, ponieważ jako czytacz „Młodych Techników” doskonale pamiętałem, skąd się wzięło prawo Archimedesusa. Próba opierała się na tym, że złoto ma największy ciężar właściwy z materiałów dostępnych zwykłemu śmiertelnikowi. Jedyna substancja, jaką dałoby się złoto zastąpić, to zubożony uran, który w czasach peerelu zapewne leżał sobie na Bazarze Różyckiego w obniżonej cenie. Szkło ołowiowe ma kilka razy za małą gęstość. Różnica jest nie do ukrycia.

Sprawny pismak, wiedząc takie rzeczy, podskoczyłby z radości, bo filmowa wszechmoc w literaturze jest śmiertelnie nudna. Dobra akcja opiera się na tym, że nie jest łatwo, i trzeba sobie jakoś z tym poradzić. Czytelnik fantasta ma w głowie zbiór prawdziwych zazwyczaj ciekawostek ze świata nauki i bardzo mile go łechce dodawanie czegoś do (z?) tej kolekcji. Bardzo zgrzyta mu, gdy autor okazuje się nie znać jakichś anegdot.

Science fiction to elitarny gatunek unoszący się w niewielkiej odległości od realnego świata. Inne

nurty – ot, choćby fantasy i wszelkie mutacje urban fantasy, horror (który wprowadził w swojej formie do literatury Edgar Allan Poe), fantastyka grozy (którą uprawiał Howard Phillips Lovecraft) miały jeden chyba zasadniczy atut, który dał im powodzenie: fantazja autorów rozsadzała ustalone w innych gatunkach światy. Oni zwyczajnie wymyślili coś całkiem nowego i ta egzotyka ratowała czasami nie do końca spójną fabułę, bo mocą dowolnego nurtu fantastyki jest oczywiście fantazja.

„Matrix” jest umową z widzem. Umowna jest fabuła, mgliści zli, dobrzy nie wiedzieć skąd, umowna technologia. Umowne zagrożenie polegające na tym, że świat wirtualnej rzeczywistości ma konsekwencje w realu. Umowna ezoteryka, umowni bohaterowie i... umowne napięcie. Jak na wizytę w kinie szybko postawiłem diagnozę, że to jest taki teledysk z MTV.

Cóż, w przeciwieństwie do Słowackiego, nie trzeba przekonywać, że „Matrix” ludzi cieszy. Nie wnosi czegoś, co to, to nie. Tym niemniej warto zauważyć: to nie jest coś, co powstało dlatego że fantazja autora rozsadziła zastane ramki. Wręcz przeciwnie. Pomysł był taki, że weźmiemy sobie stereotypowe motywy z popkultury i wykonamy z tego mniej czy bardziej smaczny ulepek. Mamy grafikę i sceny z gier komputerowych, jakieś wyskrobki z buddyzmu, trochę ekologii, trochę ideologicznych obierków po walce klas. To trochę może szokujące, ale zasadą tworzenia nie jest wymyślanie rzeczy nowych, lecz odwołanie do stereotypów, najczęściej już mocno uproszczonych, i ich dalsze uproszczenie, można rzec doklepanie do tabloidowej wizji świata.

Umowna fantastyka jest moim zdaniem odwrotnością fantazji, ale też nie krytykuję pomysłu na rozrywkę. Bo nie o to chodzi w popkulturze, by widz wyszedł z kina ciężko zaniepokojony o losy ludzkości. Dopóki pamięta, że to zabawa, nic w tym złego. No więc zauważmy, że „Matrix” ani przez chwilę nie udaje, że jest poważnym dziełem. Nie wnosi nic nowego prócz motywu życia w iluzji, ale nie umawialiśmy się na nic więcej prócz zabawy. Bez emocji trzeba tylko odnotować, że sposobem na SF w filmach stało się coś odwrotnego do tego, z czego fantastyka się wywodzi. Nie wolno Panie Boże broń zaskakiwać widza odlotami swej fantazji, należy potraktować go tym, co bardzo dobrze zna.

„Matrix” się ogląda, bo „Matrix” nie łamie konwencji. Niestety, chwyt z umownej SF bez trudu znajdziemy prawie dowolnym senscyjniaku, a nawet w „fabularyzowanych dokumentach”. Lecą sobie w rządowej tiwi i jakichś pilsatach takie opowieści – już to niby o policjantach czy prywatnych detektywach. Tamże policja rach-ciach bez problemu ustala numer IP wrażego komputera i ten numer ku mojemu wielkiemu podziwowi zawsze okazuje faktycznie numerem statycznym, na podstawie którego bez kłopotu trafiamy do fizycznego kompa i jego właściciela. A tymczasem w realu wszystko na tym się zasadza, żeby numer IP prowadził donikąd.

Jest pewien motyw z umownej SF, który odnajdziemy bez trudu w prasowych doniesieniach. No właśnie: zaczęliśmy od filmów, które udają, że ani trochę nie są SF, zaraz pokażemy, że specyficzny rodzaj fantastyki jest i w publicystyce, i w bezpośredniej dziennikarskiej informacji o tym, co się stało. Pamiętasz to biozłącze, przez które bohaterom „Matrixa” wkraczającym w wirtualny świat groziła realna śmierć? To można uogólnić: co prawda w rzeczywistej informatyce wyciągnięcie wtyczki jest jednym ze sposobów, w ogólności mamy szereg możliwości – powiedzmy uczenie, sprzętowych – zabezpieczania się. Lecz obowiązuje umowa, że ani o tym się nie myśli, ani nie pisze... a, co zadziwia mnie najbardziej (jakby wywołując Matrixa z lasa), nie stosuje.

Weźmiesz sobie gazetę, a tu nowy wirus (pewnie nie-wirus) grasuje. Śledzą cię różne służby. Czają się hackerzy. Wielkie firmy zbierają informacje. Masz się bać i nie wolno ci pomyśleć, że wystarczy tak prosta operacja jak wyjęcie wtyczki.

Zawirusowany smartfon śledzi właściciela za pomocą GPS? Wystarczy wyjąć baterijkę. Byłoby prościej, gdyby miał pstryczek jak w latarce odcinający zasilanie.

Tak, brak pstryczka to problem. „W zasadzie” można wyłączyć każdy smartfon, tyle że jest to wyłącznik „programowy”. Wyłączając smartfon, robimy coś takiego jak „shut down” w komputerze. Doświadczyłeś czegoś takiego, że komputer rozpoczyna proces wyłączania się i zawisa na jakiejś operacji? Na tę okazję masz na zasilaniu pstryczek, który po prostu odcina prąd.

O ile komputer nie może „udawać” wyłączonego, bo słychać, że chodzi wentylator, o tyle o tym, co naprawdę zrobi smartfon po programowym wyłączeniu, nie można mieć pewności. Jeśli tylko ktoś napisze odpowiednią wkładkę do systemu operacyjnego, może przed właścicielem jedynie „udawać” wyłączenie, a w rzeczywistości np. podsłuchiwać go czy wysyłać położenie odczytane z modułu GPS.

Nie ma w smartfonach mechanicznych pstryczków, nie ze wszystkich da się wyjąć baterię.

Najwyraźniej wytwórca założył, że będziesz chciał się pobawić w „Matrixa”. Kupujesz kompa, masz preinstalowany najlepszy na świecie system, na który napisano prawie wszystkie wirusy. Jeśli się uda jakoś sformatować twardziela i posadzić Linuksa, okażesz się praktycznie zupełnie bezpieczny. Niestety?

Masz się bać, inaczej nie istniejesz – napisał kiedyś na pewnym linuxowym blogu ktoś w reakcji w odpowiedzi na kolejną panikę spowodowaną pojawieniem się kolejnego wirusa. Nie wiem, na ile obserwacja, że świat zaczął się bawić w „Matrixa” ma sens, na ile jest przesadą, ale odnoszę takie wrażenie: tandetna wersja fantastyki dotarła do realu.

Skąd się wziął w naszej kulturze motyw Gai? Czy to element jakiś zapomnianych wierzeń, czy filozofii buddyjskiej? Jego pi razy drzwi naukową wersję podał James Lovelock i głosi ona, że Ziemia funkcjonuje jak jeden olbrzymi organizm, przystosowany do zmian tak, by zachować odpowiednie warunki do życia. Ciekawe?

Niestety, od opublikowania w 1979 roku tej teorii do czasu wyświetlania w kinach „Avatara” zdążyła się ona już dobrze „powycierać”. Swoją drogą, ciekawe ilu widzów zauważyło, że na tym wisi cała fabuła filmu? A komu przyszło do głowy, że w gruncie rzeczy mamy do czynienia z rodzajem w najlepszym razie naiwnego dydaktyzmu, wciskaniem ludziom pewnej ideologii? Zła czy dobra, nie ma znaczenia, ale chodzi o to, że mamy zero fantazji. Sięgnięto po gotowca, który jest powszechnie znany. Arne Næss, twórca idei głębokiej ekologii, to nie postać ze świata SF i nie walczy o Pandorę, ale działa w blisko nas w Europie.

Można dyskutować, czy walka z efektem cieplarnianym jest przykładem wejścia w nasze realne życie fantastyki, ale z pewnością coś jest w tej obserwacji. Choćby zasada tworzenia SF, która w najprostszej postaci sprowadza się do drobnej modyfikacji wiedzy ścisłej, typu: „a co by było, gdyby się dało przekroczyć prędkość światła?”. No właśnie, co prawda ludzie emitują za mało dwutlenku węgla i nie on wpływa na kształtowanie się pogody na Ziemi, ale jeśli założyć że wpływa, to...

O tym, że reklama podprogowa nie działa, wiadomo było niemal od samego początku eksperymentu Jamesa Vicary’ego z wmontowaniem w film klatek z reklamą coli i popcornu. Jednak zostały podjęte przeciw niej kroki prawne. Geolodzy straszą nas superwulkanami, astronomowie planetoidami, a nasi polscy historycy (a tak, pracownicy naukowci!) tsunami na Bałtyku. Jak to stoi w tagach naszego dzielnego pisma? „Fantastyka i horror”, a miało być „Nauka i jej popularyzacja”.

Fantastykę masz w każdym (dobra, prawie...) filmie; w sensacyjnym obowiązkowo masz motyw SF, które udają rzeczywistość. Masz tę SF w publicystyce. Masz ją w polityce, bo czym są batalie o dwutlenek węgla? Włazi do inżynierii. Dziwnie tam włazi, bo gdy mówimy o burzach słonecznych, to zasada jest jak w „Matriksie”: piszemy o tym, boimy się, i nic nie robimy.

Zasadą tej wszechobecności fantastyki jest brak fantazji, powiedziałbym, że to paraliżująca

konwencja. Nie wolno wyciągnąć wtyczki, zainstalować Linuksa, nie wolno zneutralizować domniemanych skutków globalnego ocieplenia, użyć siatek zwanych moskitierami. Jednym ze straszliwych skutków ocieplenia ma być rozwój moskitów przenoszących malarię, i właśnie gdyby użyć trochę tych moskitier, to... nie było by się czego bać.

Najbardziej pasuje konkluzja rodem z zasobów dość podłej fantastyki. A mianowicie zombi. Najpopularniejsza, najpowszechniejsza fantastyka, ta obecna w naszym codziennym życiu, kryjąca się w filmach, ma wyraźne cechy zombi tej prawdziwej. Jest nieporadna, niezdarna i na swój sposób agresywna. Tak, bo atakuje coraz to nowe obszary życia. Irytująca, bo mało co wkurza tak bardzo, jak rozwiązania fabuły typu deus ex machina. Jest zaraźliwa. Dawno uszło z niej życie w postaci fantazji.

*Adam Cebula*